

KIEDY WIEDZENIE PRZESTAJE BYĆ ZAKŁADANE, CZYLI JAK WYWOŁAĆ NEGATYWNA REAKCJE TERAPEUTYCZNA

W „Wystąpieniu na temat przeniesienia” z roku 1951 Lacan pisze: „Przeniesienie zawsze wskazuje na chwile pobłądzeń oraz położenie analityka”.

Moje rzeczywiste spotkanie z psychoanalizą według Lacana miało miejsce pewnego wieczoru w jednej z restauracyjek, gdzieżby indziej niż na Starym Mieście w Warszawie. Przystępując do pisania tego wystąpienia zdałem sobie sprawę, że to okrągła rocznica, nie tylko, że 20 lat temu, ale na dodatek miało to miejsce w lipcu. Byłem wtedy tuż po ukończonej analizie, od roku słuchałem swoich analizantów i psychoanalizę utożsamiałem z Melanią Klein. Inaczej nie mogłem, jako że superwizje udzielane były małej grupce przyszłych polskich analityków przez kleinistów właśnie.

Siedziałem zatem w restauracyjce mając naprzeciw siebie gościa z Belgii, analityka, który postanowił uczyć Lacana trzy osoby z Polski. Przyjechał, bo taki był pierwszy konkretny skutek mojej wcześniejszej o rok, dłuższej wizyty we Francji i mego zetknięcia się z psychoanalitykami lacanowskimi. Dziś mogę stwierdzić, że gdyby nie ten wieczór, mój flirt z Lacanem nie zakończyłby się najpewniej miłością.

Korzystając z okazji wspominałem przy winie o pacjencie, który kilka dni wcześniej zawitał do mojego gabinetu i wzbudził we mnie dostrzegalny niepokój. Pan, który nawiedził mój gabinet był, było to dla mnie jasne od początku, typem kardiologicznym A, miał za sobą już trzy zawały i bardzo chciał zmienić swoje życie „na mniej napięte”. Skorzystałem z okazji jaką dawała atmosfera spotkania i zwróciłem się do mego gościa, Maurycego, z następującą uwagą: „Ten mężczyzna jest już po trzech zawałach, boję się, że analiza może go doprowadzić do czwartego. Właściwie nie wiem, co w tej sytuacji mógłbym zrobić.” Odpowiedź Maurycego będę pamiętał po kres moich dni, usłyszałem: „Jesteś połową analityka; skoro bowiem wiesz, że Wielki Inny może zatrzymać serce, a nie chcesz wiedzieć, że może ożywić serce, to gdzie jest twoje serce?”

Czuang-tsy też często przywoływany przez Lacana, w „Prawdziwej księdze południowego kwiatu” napisał: „Mowa nie jest tylko wydmuchiowaniem powietrza. Mowa ma coś powiedzieć, ale co ma powiedzieć, nie jest jeszcze bliżej ustalone.”

Uwaga mego superwizora, bo kończąc ten wieczór poprosiłem go o bycie kimś takim dla mnie, a on w sposób naturalny się na to zgodził, stawia kwestię różnicy między wiedzą a wiedzeniem, echo problemu wiedzy i prawdy wnikliwie dociekanego przez Lacana. Jak mogłem nie wiedzieć o czymś tak oczywistym, że serce nie tylko się zatrzymuje? Dlaczego wiedza o finalnym skutku serii zawałów była jedyną rzeczą jaką przyszło mi posiadać?

Oczywiście, wtedy to nie wiedziałem, że, jak oznajmia nam Lacan, „Podporą przeniesienia jest podmiot zakładanego wiedzenia”, nie „wiedza o” jest podporą, co usilnie stosowałem w tamtych czasach, tylko podmiot, co to nie wiedząc, że wie, postawiony jest w sytuacji, w której zakłada, iż istnieje Inny, który wie. Nie, że wie, iż Inny wie; on ma już dość tych Innych, co to wiedzą, począwszy od rodziców, a skończywszy na duchowieństwie. Przecież on też wie, co oni wiedzą – żyć w

mniejszym napięciu, ależ on to wie, tak jak wiedzą to lekarze i jego żona. Czyżbym wiedział, że ma żyć w mniejszym napięciu – ostatecznie czytałem o typie kardiologicznym A – i kierując się tym zacząłem oszczędzać mu napięć związanych z psychoanalizowaniem się? Tymczasem usłyszałem, gdzieś między jednym a drugim łykiem wina, mowę o sercu – sercu zatrzymanym, sercu ożywionym, sercu posianym. Nie mówiono mi o napięciu, nie wspomniano o moich niepokojach, postawiono kwestię serca. Nie jako mięśnia, nie jako sentymentalnej idei tak bardzo obecnej w potocznej mowie Polaków „miej serce i patrz w serce”, ale jako znaczący przyniesiony przez mowę. Stąd pozwólcie nazwać go przez moment znaczącym przyniesieniowo-przeniesieniowym.

Ale wtedy nic z tego nie wiedziałem. Wtedy byłem na etapie mówienia swym analizantom „czuje pan niepokój i przeraża to pana, bo zwiększa to napięcie” (to wariant a), albo „mówienie do mnie o tym, co przyczynia się do pana napięcia, zmniejsza pana niepokój” (to bardziej wyrafinowany wariant b). Z którejkolwiek strony jednak by nie patrzeć serce nie było w grze, pozostawało poza mową.

„Początkiem psychoanalizy jest przeniesienie” – w tak naturalny sposób oznajmia nam to Lacan w liście – propozycji z 9 października 1967 roku.

Oczywiście, usłyszałem w słowach superwizora interpretację swego położenia, jakże odmiennego od tego, pragnionego przez pacjenta, jeszcze nie analizanta. Nawet jeśli pacjent mówi o swym napięciu, to mówi tylko o nim jako o konsekwencji niedomogi serca. Z resztą nie użył w pierwszym spotkaniu tego słowa – mówił „zawał”, ale nie „zawał serca”. Chyba dlatego tak silnie usłyszałem słowo „serce” wypowiedziane przez Maurycego. I nie dlatego tylko, że zabrzmiały w tym liczne rezonanse znaczeniowe.

Pana Jurka poznałem tylko dlatego, że jego żona przyszła najpierw zamiast niego, opowiedziała mi o mężu i jego zawałach i prosiła o umówienie się z nim na regularną analizę, by „nie żył on już z tym napięciem”. „Nie żyć z napięciem” czy „nie żyć bez napięcia”, cóż za różnica? Ona, żona pana Jurka, także nie wspomniała słowa „serce”; wspomniała co prawda o „by nie żył on już”, ale usłyszałem to o wiele za późno.

Jest coś w tamtych wydarzeniach, co często mi się nasuwa, przypomina, kiedyś nawet planowałem napisanie tekstu pod tytułem „znaczący i jego koleje losu” gdzie postawić chciałem pytanie odnośnie tego, co się dzieje, czy może się dziać, gdy zawał dotyka znaczącego, gdy latami całymi jest on nieobecny w wymianie między kobietą i mężczyzną, mężem i żoną, gdzie nawet najprostsze „Jurek?”, „Tak moje serce?” uznawane jest za kiczowate i żenujące?

Przeniesienie jest zakładaniem przez podmiot, że się wie, się wie, które jest tam gdzie Inny. Jest to zakładane wiedzenie, ale nie wiedza analityka. Jego wiedza może być nawet duża, ostatecznie poznał on wiele rzeczy, ma wiedzę nawet o typie kardiologicznym A. Zaczyna nawet o tym mówić izawala na całej linii.

[Nie sposób obyć się w tym miejscu bez dygresji dotyczących języka polskiego. Słowo „zawał” w języku polskim przeszło ze słownika górniczego i budowli ziemnych gdzie oznacza niespodziewane, gwałtowne zasypanie tunelu, korytarza, wyrobiska górniczego. Użyte w wyrażeniu „zawalić coś” oznacza „nie sprawdzić się”, „zawieść” – stąd moja gra słowna.]

Co właściwie się stało, gdy pan Jurek przyszedł bez serca po serce? Można mieć wielką wiedzę o sercu, ale czy ma się wiedzę o „byciu bez serca”? „Nie mieć serca do czegoś” – to kwestia wiedzenia, a nie kwestia wiedzy. Posłużę się przykładem pewnej pani kardiolog, która po dwóch latach analizy, w kryzysowej sytuacji szpitalnej powiedziała do swego kolegi kardiologa bagatelizującego skargę pacjenta co następuje: „a może mógłbyś mieć odrobinę serca?” Ot i cała różnica między znaczącym i znaczoną, między wiedzą a wiedzeniem. Wiedzenie zawsze jawi się w jakiejś postaci wątplenia i dlatego może być jedynie zakładane. A jeśli jeszcze adresowane jest ono do analityka, transferowane

przez pacjenta, kogoś w rodzaju pocztyniona, do tego, kogo można tedy nazwać depozytariuszem, to przeniesienie mamy gotowe. „Ja, bez serca, przychodzę do ciebie po serce. Więc nie mów mi o napięciu.” Tymczasem mówiłem mu o tym. Supozycję zastąpiłem wiedzą książek. Czy miałem serce do słuchania tego pacjenta? I uogólniając, czy miałem serce do analizowania w ogóle? Ponieważ odpowiedź na te pytania dotyka kwestii pragnienia analityka, co nie jest przedmiotem mej tezy, pozwólcie, że przejdę dalej.

W „Television” jest stwierdzone „przeniesienie funkcjonuje wraz z podmiotem zakładanego wiedzenia”.

W tamtym, już odległym czasie, wszelka myśl o radykalnej odmienności psychoanalizy od innych form słuchania pacjentów, a także formule „na opak” używania interpretacji, była przeze mnie ignorowana. Naprawdę starałem się być pilnym uczniem swych kleinowskich superwizorów i po uprzednim skontenerowaniu jakiegoś modułu wypowiedzi pacjenta, opakowywałem ją w dość ciasny uniform interpretacji przeniesienia według Klein z nieszczęsnym dodatkiem, jak to nazywam, formułek „jednających”, rzekomo ułatwiających porozumienie, a w rzeczywistości stępujących ostrze. Pełno było takich „zdaje się, że”, „możliwe, że” i szukających mirażu porozumienia kończących fraz „czyż nie tak?”, „nieprawdaż?” Ot, zwyczajna relacja diadyczna, w której analityk dozuje wiedzę, którą ma, a nie sygnalizuje istnienie wiedzy pacjenta, której to on nie wie, że ma. A co się dzieje, gdy wiedza, którą się ma, którą analityk ma, zastępuje supozycję wiedzenia, wiedzenia o wiedzy, której status może być jedynie zakładany?

W tym miejscu przychodzi mi na myśl pewna historia, która gdyby nie jej faktyczność, z łatwością wzięta byłaby za anegdotę. W kilka miesięcy po opisywanej przeze mnie „pierwszej superwizji” z Maurycym, miałem okazję poznać i rozmawiać z analitykiem amerykańskim. Przeszedł on drogę odwrotną do mojej – od psychoanalizy do seksuologii. Opowiedział mi o swym ostatnim psychoanalitycznym pacjencie cierpiącym z powodu ejaculatio praecox. Tenże pacjent był wnukiem rewolwerowca i sam marzył o byciu rewolwerowcem. Przez 4 lata pozostawał w psychoanalizie, bezskutecznej analizie. Jego analityk wyczerpał wszystkie środki dostępne analitycznie, by mu pomóc. Dał mu wszelkie znalezione w literaturze analitycznej interpretacje. Mówił o ekspresji agresji wobec kobiet, zastępczej formacji lękowej jako wyrazie strachu przed ojcem zakazującym kazirodztwa, nieświadomym homoseksualizmie i jeszcze parę innych. Wszystko tylko nie znaczący. Przez cztery lata nie słyszał o rewolwerowcu, szybkostrzelcu Gonzalezie. Słuchałem w milczeniu jego relacji, przytłoczony głuchotą analityka. Z pewnością winien być seksuologiem, a nie psychoanalitykiem. Uradowany mówił o szybkiej, bo 6 tygodniowej terapii uciskowej prącia. W wyniku tego „sukcesu” porzucił analizę i stał się seksuologiem. Jedyną pożyteczną rzeczą, którą wyniósł w tym przypadku, było przeczytanie wielkiej porcji literatury analitycznej.

„Nocami wydobywam świecące perły wierszy, w stu ogniach spalając swój mózg, bo przestrzeń słowa powinna być rozległa.” (Nozawi Gandzewi)

Pozwólcie, że powiem: nie ma przeniesienia bez znaczącego, tego znaczącego, który bierze wiedzę w nawias i wzbudza w analityku pragnienie nie tyle poznawania, nabywania wiedzy, co pragnienie „wiedzenia”. To podmiot zakłada poprzez znaczący, że jest wiedzenie nie-wiedzy, tego co pozostaje w nawiasie nieświadomości. Tak odczytuję matem z listu propozycji Lacana. Tym też jest sedno procesu psychoanalizy – bez przeniesienia nie ma psychoanalizowania. Lecz czy perturbacje przeniesieniowe wywołują negatywną reakcję terapeutyczną?

Prześlizgując się pobieżnie przez literaturę analityczną na temat negatywnej reakcji terapeutycznej, da się zauważyć jakie obserwacje kliniczne zdecydowały o powstaniu podstawowego zrębu tego pojęcia. Często dzieje się tak, że mimo bardzo dokładnych i wiarygodnych interpretacji, pacjenci pozostają oporni, nie pokazują zmian, w końcu przerywają kurację i odchodzą. Próbując wyjaśnić to zjawisko zaobserwowano chęć wyrażaną przez powiedzenie „im gorzej tym lepiej”. Modelowym wzorcem negatywnej reakcji terapeutycznej jest przerwanie analizy przez Dorę, ale powód tego tkwił nie w niej, tylko w sposobie interpretowania jej analityka.

Jako że interpretowanie należy do analityka, negatywnej reakcji terapeutycznej nie można nie wiązać z przeniesieniem. Przypomnijmy zdanie Lacana na ten temat: „Interpretacja, którą daje psychoanalityk, odbierana jest jako pochodząca od osoby, której przeniesienie wmawia, że jest.” Uściślijmy, zakłada, że jest. A gdy analityk mówi jako on? To mówi to, co wie. Proste. Albo pomija znaczący, jak mój znajomy Amerykanin, psychoanalityk-kowboj, albo odszyfrowuje go prosto z ręki.

Kilka miesięcy temu zasiadła naprzeciw mnie w fotelu 50-letnia pani. Rok wcześniej przerwała analizę, „bo nic mi ona nie dawała przez te dwa lata jakie chodziłam”. W jej trakcie rozwinęła się u niej tajemnicza choroba gardła objawiająca się uporczywym bólem, a zaraz potem nieprzyjemna dolegliwość stopy, która uniemożliwia jej chodzenie w butach na wysokich obcasach. W pewnym momencie przychodzenia na analizę powiedziała swemu poprzedniemu analitykowi, że miała sen, w którym lekarz oglądając jej zdjęcie rentgenowskie stwierdza, że ma ona guza w mózgu. Tenże analityk zareagował kierując ją na zrobienie sobie zdjęcia rentgenowskiego i przebadanie przez neurologa. Pani Anna ostatecznie opuściła wtedy swego analityka. Zanim jednak tak się stało pojawiły się u niej bóle gardła i ból stopy, które w kilka miesięcy później stały się pretekstem do opuszczenia swej pierwszej analizy. W rok po tym wydarzeniu poszukała kolejny raz analizy.

Jest nieco konfundujące widzieć analityka, który wierzy w proroczość snów. Czytuje on Freuda czy nie? A jaki pogląd na to ma analityk tej osoby? Mój rzekł kiedyś na ten temat, iż o proroczości naszych snów świadczą najlepiej sny erotyczne, ale może akurat ten analityk nie ma takich snów. Kto wie?

W każdym razie pani ta zapukała także i do mnie ulegając namowom znajomej swojej znajomej, by spróbowała jeszcze raz. Po trzech miesiącach raczej ostrożnego przychodzenia miała ponownie sen o guzie mózgu, który opowiedziała mi w tonie zwiastującym sceptycyzm co do mego znaku jakości: „ktoś mówi mi, że mam guza mózgu. Będziemy go szukać.”

„Nadawca otrzymuje swój własny przekaz od odbiorcy w formie odwróconej” po wielokroć powtarza nam Lacan. A skoro tak, to nie istnieje znaczenie indywidualne w jakikolwiek sposób poprzedzające przekaz, a osoba odbiorcy przekazu jest warunkiem sine qua non pojawienia się znaczenia. O tyle jednak, o ile forma odpowiedzi od odbiorcy przybiera postać odwróconą. Znaczenie więc ma raczej charakter transindywidualny, bo jawi się analizantowi i analitykowi jako znaczenie Innego.

Pierwszy analityk tej pani wziął śniony guz mózgu za nowotwór i spróbował wysłać ją do radiologa mając za nic przeniesienie. Zapomniał bowiem był, że było to „szukanie guza”. [W języku polskim „szukać guza” oznacza „stawiać się w sytuacji niekorzystnej dla siebie”, „wikłać się w sytuacje o negatywnych skutkach”].

Zacytujmy raz jeszcze Lacana z „Uwagi na temat nauczania” : „Przeniesienie fabrykuje rzeczywistość”.

Moje dotychczasowe rozważania nie były w żadnym wypadku wymyślaniem prochu. Odpowiadając pozytywnie na sugestię pani Colette Soler zdecydowałem się podzielić swymi refleksjami na temat przeniesienia, tak jak odkrywało ono swoje tajemnice przede mną, gdy dzięki zbiegowi okoliczności, dane mi było spotkać się „z Lacanem”. Dodatkowo, duża liczba pacjentów trafiająca do mego gabinetu miała nieudane doświadczenia terapeutyczne, czy to z analitykami, analizantami moich kolegów i

koleżanek z okresu pionierskiego restauracji psychoanalizy w Polsce, czy to terapeutami poznawczo-behawioralnymi, tudzież psychoterapeutami-eklektykami, tak charakterystycznymi dla psychoterapii polskiej. W każdym przypadku uderzająca była ignorancja dotycząca tego, co można nazywać rzeczywistością przeniesienia. Po wielkim skandalu sprzed dwóch lat, gdy pionier psychoterapii dzieci i młodzieży okazał się być pedofilem i gdzie na serio proponowano wprowadzenie czegoś na kształt policji psychoterapeutycznej mającej na celu rozpętanie „rewolucji kulturalnej”, wyszły na jaw wszelkie braki – psychoterapeutów bez własnej psychoterapii, superwizorów bez własnej psychoterapii, a co za tym idzie kompletny brak rozumienia przeniesienia. Zdaję sobie sprawę, że we Francji zaplecze terapeutyczne i sytuacja jest zapewne zupełnie inna. Jednak moja, nasza, polskich analityków, skłania do powrotu do przeniesienia, jego rzeczywistości i zasad. Stąd moje uwagi.

Zakończę przeto jeszcze jednym przykładem, jakże wymownym.

Na wiosnę tego roku z ciężkim westchnieniem zapadł się w fotelu pięćdziesięcioletni pan. Dwa lata wcześniej skończył terapię poznawczo-behawioralną. Tak powiedział to na wstępie, ale jak wkrótce się okazało, odszedł z niej bo jego terapeuta nie chciał się z nim dalej spotykać, jako że cel terapii został zrealizowany. Celem tym było „rzucenie przez niego palenia”. Tak, właśnie tak! W momencie rozpoczęcia terapii palił nałogowo od 27 lat, przeciętnie po 100 papierosów na dobę. Palił bo wszyscy w jego środowisku palą równie nałogowo. Jest reżyserem filmowym i teatralnym, profesorem wyższej uczelni artystycznej, a w tym środowisku, jak powiedział, „wszyscy tak bardzo palą”. W pierwszym spotkaniu usłyszałem ponad to, że poszedł do terapii, bo żona jego zagroziła, że odejście od niego, jeśli nie rzuci palenia. W kilka tygodni po rozpoczęciu spotkań z terapeutą spotkał kolegę, byłego palacza, który zachęcił go do „rzucenia palenia natychmiast, od razu”. Pacjent zrobił to, i to z pełnym sukcesem. Od dwóch lat nie pali. Kilka tygodni po tym terapeuta uznał, że cel został osiągnięty i mimo próśb zakończył spotkania.

Lecz, czyż może nas analityków dziwić, że jego żona mimo tego odeszła od niego, na dodatek z palaczem?

Dlatego też przyszedł do mnie, a nie chcąc kontynuować tematu żony i jej palacza, powrócił do swego ostatniego (sic!) sukcesu w życiu i chcąc powiedzieć, że „da się żyć bez tego (czyli palenia)” rzekł „da bez tego się nie żyć”. Zaskoczony moim zaskoczeniem (czyż nie jest to przekaz w formie odwróconej?) milczy dłuższą chwilę, ponownie próbuje zmienić temat mówiąc: „żona ciągle daje mi popalić”. [W języku polskim przykładowo „daj mi popalić” znaczy „poczęstuj papierosem”, ale także „dać popalić” oznacza „wyżywać się na kimś”, dręczyć, solidnie dokuczać itp.] Podobnie z resztą jak sam analizant, który dawał popalić swym studentom zaliczając ich prace dopiero wówczas, gdy wypełnili petami papierosowymi całą metalową puszkę, w której przechowuje się rolki nakręconego filmu.

Ot i cała rzeczywistość „dawania popalić”. Pacjent daje popalić studentom, żona daje popalić mężowi, terapeuta daje popalić pacjentowi, a analityk? Daje w końcu popalić? Bo co, jeśli życie daje popalić i „popalić”?